

1.

... na koniec, chciałbym jeszcze tylko o tych samochodach do wynajęcia – spraw, żeby to nabrało właściwych wymiarów; tak, właśnie, myślę o tym przedłużającym się czekaniu. Ludzie mokną na zimnych deszczach, albo ktoś się gdzieś spóźnia. Ja sam... Najgorzej jest późną jesienią, przed końcem roku.

I to już chyba wszystko. Tak, na pewno, to już wszystko.

Pewnego ranka budzi się ze snu mała dziewczynka. Ma tak niewiele lat, że przez długą chwilę musi się zastanawiać, czy już się obudziła, czy wciąż jeszcze śpi. Na wszelki wypadek, dziewczynka leży nie poruszając się.

O budzeniu się ze snu można mówić wiele. Pierwsze otwarcie oczu jest bowiem powrotem. Czasami także, jest to dopiero przyjsście; skąd? – tego nikt z żywych nie wie. Moment przebudzenia jest bardzo ważny dla całego dnia. Jeśli przebudzenie było złe, trzeba włożyć wiele wysiłku, aby potem mieć dobry dzień. Niewielu ludzi potrafi się na to zdobyć i dlatego każdy, mniej lub bardziej świadomie, stara się obudzić właściwie, tak, aby w nadchodzącym dniu sprzyjał mu los. W wielu przypadkach, ludzie źle obudzeni zamykają oczy, aby w ten sposób spróbować raz jeszcze. Jest to jednak nieuczciwe zarówno wobec nocy, jak i dnia: za swoje przebudzenie odpowiedzialny jest tylko i wyłącznie sam budzący się.

Większość małych dziewczynek śpi bez koszmarów, a jeśli już nawiedzają je we śnie zmary, to są one tak małe jak te dziewczynki.

Proporcjonalnie.

Cóż, u małych dziewczynek, nawet z ich własnego punktu widzenia, wszystko jest małe. Dlatego nasza mała dziewczynka otwiera oczka, a nie oczy, przeciera je rączkami, a nie rękami, zsuwa się na skraj łóżeczka, a nie łóżka, czy też, broń Boże – łoża, i wsuwa stopki w pantofelki. I naprawdę nie ma to żadnego znaczenia, że lewy pantofelek wkłada na prawą nóżkę, a prawy na nóżkę lewą. Przez szparę pomiędzy zasłonami zaciągniętymi na uchylonym oknie dla ochrony przed komarami, wpadają promienie słońca. Można by także zaryzykować twierdzenie, że do dziewczynki dochodzi śpiew ptaków w ogrodzie wypełniający bożymi dźwiękami jej mały, pełen wesołych zabawek pokój. Dziewczynka uśmiecha się radośnie. Zaiste, to przebudzenie jest dobre, a gdyby to tylko od niej zależało, taki sam byłby cały dzień.

Dziewczynka wychodzi teraz na ciemny, pozbawiony okien korytarz i szybko przebiega do drzwi, za którymi spodziewa się znaleźć swoich rodziców. I znajduje. Śpią na szerokim łóżku razem, ale każde inaczej: mama, odwrócona twarzą do ściany, wystawiła na kółdrę gołą białą nogę – leży na ramieniu pod głową, od czasu do czasu lekko posapuje marszcząc przy tym nos. Tata leży na wznak i na kółdrze. Dziwne, że ubrany w płaszcz: długi granatowy prochowiec ze stójką zamiast kołnierza. Także w butach. Jak martwy.

Mała dziewczynka rozpęda się na podłodze i wskakuje na łóżko, pomiędzy rodziców. Potem odbija się kilka razy od materaca, jak na trampolinie, i całym ciężarem swojego małego i lekkiego, przecież, ciała wali się na tatę. Rozlega się jęk cierpiącego mężczyzny. Dziewczynka pracuje w milczeniu: strącona bezwiednym, ale łagodnym ruchem ręki na kółdrę, podnosi się i wyskakuje kilka razy w powietrze, nim spadnie powtórnie na tatę, który wiedziony doświadczeniem zdążył już przekreślić się na brzuch zostawiając na pościeli grudki zaschniętego, opadłego z butów błota. Małej dziewczynce nie przeszkadza nieprzyjemny zapach z ust taty.

Po pierwszym skoku, Eryk Szlahta przez chwilę był pewien, że zwymiotuje nie zdążywszy nawet przechylić głowy w stronę podłogi. Przełknął szybko kilka razy ślinę oraz to, co podeszło mu do gardła z żołądka i strąciwszy z siebie bezwiednym ruchem ręki Magdusię odwrócił się na brzuch szarpiąc przy tym poły granatowego prochowca. Po drugim skoku zdał sobie sprawę z innych doznań – wysuszone na wiór gardło, ciśnienie rozsadzające pęcherz, pulsujące bólem skronie. Kilka razy, z wielkim wysiłkiem, unosił na rękach swoje ciało na łóżku w daremnej próbie zrzucenia mocno w niego wczepionej Magdusi. Potem wyciągnął spod siebie rękę w stronę nogi żony wystawionej na kołdrę i mocno potrząsnął jej białe udo.

- Ewo, zajmij się dzieckiem – wycharczał, kiedy kątem oka dostrzegł, że powieki żony gwałtownie zamrugały.

- Magdusiu, proszę puścić tatę – usłyszał jak zamamrotała przez, był tego pewien, sen.

Widząc, że obudzenie żony wymagałoby, co najmniej tyle samo wysiłku, co zrzucenie, lub pokonanie Magdusi, zmienił plan działania. Powoli, stawiając na podłodze najpierw ręce, zsunął się z łóżka na czworaki. Ból głowy nagle przesunął się do tyłu i bębnił teraz w sklepienie czaszki. Mógł powstać wykorzystując twardą powierzchnię podłogi, ale uczył głęboką niechęć do pozycji pionowej. Była w jego rozumowaniu pierwotna mądrość; nie uznawał wielu rzeczy wymyślonych przez swój gatunek w przeciągu krętych wieków istnienia, dlaczego zatem miałby tak od razu, bezkrytycznie przyjmować postawę wyprostowaną? Chodzenie na czworakach wydało mu się w tej chwili najbardziej odpowiednim sposobem poruszania.

Ucieszona nową zabawą Magdusia biła go piętami w brzuch i zagrzewała okrzykiem „Wio koniku!”.

- Wio koniku! Wio!

Eryk chce ją przekląć, strącić, nawet jeśli by miała się przy tym potłuc, ale obok złości na córeczkę, odzywa się w nim cicha rezygnacja, niemal masochistyczna zgoda na ból głowy, kopanie w brzuch, czołganie się na czworakach. Nie po raz pierwszy doświadcza podobnego uczucia.

W pewnym momencie nawet, wydaje mu się, że spośród tych wszystkich niedobrych doznań ciała i ducha, przebija się, jak lilia z bagna, uczucie przyjemności. Przyjemności, że jest. Obolały, skopany, wypełniony kociokwikiem jak nocnik łajnem, ale jest.

Ewa rozbudzona śmiechem i okrzykami córeczki wstaje z łóżka, gdy Eryk dochodzi już do drzwi. Patrzy przez chwilę, ale nie dziwi się. Potem energicznym krokiem idzie w ich stronę.

- Co wy wyprawiacie? Magdusiu, proszę zejść z taty – mówi i odrywa dziewczynkę od pleców Eryka unosząc ją do góry.

On korzysta z okazji i spieszonym stępem wychodzi na korytarz. Nogą zamyka za sobą drzwi sypialni. Uwolniony od ciężaru nadal nie chce podnieść się na nogi. Wciąga kilka razy przez nos powietrze, jakby węszył, i dochodzi do łazienki. W głowie huczy mu wodospad. Największy na świecie, a może jeszcze większy. Albo burza i ulewa. Takie ulewy często kończą się potopem. Widok muszli z brązowego fajansu podpowiada Erykowi, że jeśli za chwilę się nie wyurynuje, to mocz z pewnością rozerwie mu pęcherz i wleje się do brzucha. Lecz wtedy musiałby wstać na nogi. I nadal nie podnosi się. Podpełza bliżej muszli i patrzy na przejrzystą stróżkę wody wyciekającą z nieszczelnej spłuczki. Wody życia. Przynajmniej rano, gdy boli głowa.

Wyciąga szyję, wysuwa język i nabiera kilka kropel. Nagle wszystko w nim wywraca się do góry nogami. Tym razem nie powstrzymuje się. Obejmuje tylko muszlę ramionami i wreszcie rzyga pełną gębą, bez palców w gardle, na sto dwa, 102. Obficie, lekko, wodniście, pięknie – przynajmniej na początku. Potem się już trochę męczy, ale i tak doznaje niezaprzeczalnej ulgi. Na czole zimny pot. I ból wychodzi z głowy wraz z wymiocinami. Wielki, dobry rzyg. Rzyg – przyjaciel. Ojciec i matka. Lekarz najlepszy.

Wisi wciąż na muszli i tylko prawa ręka błądzi ku górze w poszukiwaniu łańcuszka spluczki. Delikatnie pociąga i zimna woda, po chwili, chłodzi spieczoną twarz. Jak dobrze! Tak musi wyglądać szczęście!

W ten sposób, Eryk Szlahta pokonał już wiele przeszkód w swoim ciągle jeszcze młodym życiu, ale z największą wdzięcznością wspomina pomoc z tej strony, gdy pokrył wymiotami ciało ojca.

Och! Trzeba się wreszcie wysiusiać. Wstaje, rozchyła poły granatowego płaszcza i z trudem wyciąga na światło dzienne wyprężonego brata. Naciąga skórę na zmacerowanej główce i rozluźnia mięśnie.

Ufff.

Wyciekają z niego resztki nocy, strzępy ciemności, białe mgły.

Spuścił jeszcze raz wodę i przysiadł na skraju wanny. Zadumał się na ogromem przemian, jakie dokonały się w nim, tutaj, w tej małej łazience: zaczął się czuć człowiekiem. W tym momencie nie wydało mu się to aż tak bardzo złe – w każdym razie nie chciał już chodzić na czworakach. Wyciągnął z kieszeni prochowca pomietą paczkę papierosów i zapalił. Potem wsadził korek do wanny i odkręcił kurek z ciepłą wodą. Powoli zaczął się rozbierać.

Potłamszone części ubrania wrzuca do plastikowego kosza na pawlaczu. Jeszcze tylko zobaczy swoją twarz w lustrze. Nie potrafi sobie tego odmówić. No, przecież nie jest tak złe: wilgotne od potu czoło, pobladła od niedawnego wysiłku twarz, zlepione kosmyki włosów. Tak, teraz już można. Wyciąga się w wannie otoczony gorącą wodą i bez pośpiechu dopala papierosa. Kiedy wyjdzie z łazienki, będzie już zupełnie obudzony.

Postawiła dziecko na podłodze z jasnych desek i poczekała aż on wyjdzie z pokoju. Miała ochotę wrócić jeszcze do łóżka i zdrzemnąć się, chociaż na kilka minut. Jej ciało ciągle było pogrążone we śnie. Przesunęła dłońmi po biodrach i przeciągnęła się unosząc ręce nad głową lekko przy tym ziewając. Szczere ziewnięcia i szerokie uśmiechy odsłaniają brak szóstego zęba po lewej stronie, w górnej szczęce. Dentysta zapewnił ją, że zęby same się przesuną, po kilku miesiącach, ale do tego czasu musi uważać z szerokimi uśmiechami. Dentysta był miłym mężczyzną w średnim wieku i nie policzył sobie zbyt wiele za usunięcie zęba. Czy był także miły dla swojej żony? Tak jak dla swoich prywatnych pacjentek?

Zdjęła nocną koszulę i stanęła na małą chwilę przed lustrem toaletki. Stanowczo powinna zeszczupleć o dwa i pół kilograma. Powtarzała to sobie każdego dnia, właśnie w tym momencie. Szczególnie, jeśli idzie o biodra i uda. Reszta jest jeszcze w porządku – gładka, naciągnięta i, pomimo urodzenia dziecka, jędrna. Z tym, że jest zbyt blada jak na początek lata, ale przecież ciągle padały deszcze. Może dzisiaj? Z nadzieją spojrzała za okno. Ach, żeby było słońce, żeby grzało jak nigdy dotąd. Żeby spadło na ziemię. Do ogrodu. Potrząsnęła głową rozwiewając długie kasztanowe włosy, przedmiot jej dumy i starań. Niezbywalny atrybut w kosmicznych rozgrywkach damsko – męskich. Potem je rozczesze, a teraz narzuciła

na siebie szlafrok z czerwonego aksamitu, jeden z nielicznych prezentów, jakie otrzymała od Eryka tuż po ślubie. Teraz był już wytarty pod pachami i na końcach szerokich rękawów.

Po drodze do kuchni zajrzała do pokoju Magdusi, która próbowała naciągnąć na siebieienne ubranie. Poleciała jej, gdy tylko skończy się ubierać, zejść na śniadanie. Z łazienki dobiegały ją odgłosy, jak gdyby ktoś chciał z siebie wypuścić duszę, a potem hałas spuszczonej wody. Tupnęła nogą i przez chwilę miała ochotę zabębnić pięściami o drzwi, za którymi wyobrażała sobie Eryka.

Lepiej Ewo w czerwonym szlafroku idź do kuchni. Postaw wodę na herbatę, zdmuchnij zapalną. Tutaj niczego nie zmienisz. A nie zapalaj papierosa, zanim czegoś nie zjesz, bo to szkodzi na żołądek i w ogóle.

Poranne kręcenie się po kuchni; w zlewie kilka naczyń po wczorajszej kolacji. Niewiele tego po małej dziewczynce i po kobiecie, która musi dbać o sylwetkę. Po śniadaniu, bo Eryk na pewno zje z nimi, będzie więcej. Zapala papierosa. Gotuje wodę na herbatę dla siebie i męża, gotuje mleko z pudełka dla Magdusi, kroci chleb, sięga do lodówki. Z odrazą myśli o nie dających się już odsunąć na następny dzień zakupach. (A może nie będzie aż tak źle?) Zalewa herbatę w szklankach, a mleko wlewa do fajansowego kubka.

Koc odrzucony na podłogę przykrył część bezładnie ciśniętego ubrania. Czarne, bezpieczne zwierzę ze snu uciekło przez szparę w podłodze. Jasność dnia mruży jego powieki posklejane białymi ziarenkami nocy. Lepka skóra przylega, jak plaster, do błyszczącej powierzchni gabinetowej kanapy. Leży na wznak, z rękami pod głową i określa. Określa miejsce, czas i siebie. Ścisłe i dobitnie, aby wykluczyć pomyłkę, jakikolwiek błąd w rozumowaniu porannym. Penetruje pamięć jak kornik drąży pień drzewa, cofa się o godziny i noce, bierze poprawkę na światło księżycy i jęczące jak małe dzieci, bure koty. Górnik mózgu, astronom wygasłych galaktyk. Dopiero, gdy obraz z pamięci pokryje się z obrazem przed oczyma, Waldemar Zimny uzna się za obudzonego ze snu.

Domowe, zapamiętane z dzieciństwa, poranne odgłosy z kuchni. Kanapa, pokój, kuchnia: dom! To dom. Ala ma dom i psa Asa. Ça va. Trzeba się ubierać. Ewa robi śniadanie, a Eryk może jeszcze śpi. Wczoraj odjechał, okrążył ziemię i przeszedł mleczne drogi. Schlał się jak człowiek. Eryk ma dom i Eryk ma żonę, piękną żonę, i Eryk ma... cora – córa... ma córkę! Eryk ma także Waldka, który nie opuści go w tak ciężkiej chwili, gdy człowiek dochodzi do trzydziestki. Z kuchni dobiegają go odgłosy rozmowy. Waldemar Zimny wciąga szybko spodnie, podbiega do drzwi, uchyla je lekko i z zainteresowaniem podsłuchuje:

- Najgorsze jest to, że niektórzy wierzą i uważają za słuszne tylko to, co robi większość otaczających ich ludzi. Tak rodzi się populizm i faszyzm, jest to najprostsza droga do zbydlenia się. Dlatego wolę być taki, jaki jestem, niż dołączyć do tych ludzi. Jeśli kiedyś będę taki jak oni, to tylko dlatego, że sam w to uwierzyłem i uznałem za słuszne. Ty zaś, widzę to bardzo dobrze, już od dawna pozwoliłaś się zagonić w ciemny kąt i nawet nie mrugnęłaś okiem. Do tego stopnia, że jestem pewien, że nawet nie rozumiesz tego, co w tej chwili do ciebie mówię – to Eryk. Zakrzuszył się okruszkiem.

- Poklep mnie w plecy! Prędko!

TRZASK! BUCH!

Trzask! Buch! – to Ewa.

To nie doprowadzi do niczego dobrego. Milczy i unika moich oczu. Jest zła i tylko szuka najbardziej błahego pretekstu, żeby wybuchnąć. Pewnie by chciała, abym się pokajał i

prosił ją o wybaczenie. Tyle tylko, że co mi może wybaczyć? Jestem skazany na tę kobietę, a ona jest skazana na mnie. Żadne z nas nie ma ochoty powtórnie ryzykować. Dlatego musimy walczyć ze sobą. Dla innych jesteśmy uprzejmi. Przyzwyczajaliśmy się jedno do drugiego, mamy dziecko, wspólny wstyd i wspólną radość, ciemne i jasne sprawy. Tyle w nas nienawiści, ile miłości, było; tyle zawodu, ile nadziei, było. Stuka łyżeczką w szklanekę i nabiera plasterek wędliny. Każdy jej ruch wzbudza we mnie sprzeciw. Nigdy nie odważę się pociągnąć za obrus i zrzucić to śniadanie na podłogę. Bo i po co?

Jest tam, śmieszny i zadowolony z siebie. Wyrzygał się i wykapał. Nic go nie obchodzi to, że czekałam na niego w nocy. Będzie udawał, że wszystko jest w porządku, już to robi. Tak jakbym nie widziała go, gdy wrócił. Kiedy ostatni raz byliśmy razem? Jemu już na mnie nie zależy, na nikim mu nie zależy. Czy można kochać takiego człowieka, czy można kochać męża po pięciu latach małżeństwa? Ucieka ode mnie, nawet gdy jest w domu. Udaje miłość do dziecka – resztki odpowiedzialności, jeśli w ogóle kiedykolwiek ją posiadał.

Ewa, ostrożnie, jak zawsze, gdy wpada w dumne tony:

- Oczywiście, to twoja sprawa i z góry przepraszam...

- Boże, może najpierw powiesz, o co ci chodzi – przerywa Eryk, jak zwykle zirytowany takim wstępem.

- Dobrze, a więc wiem, że to twoja sprawa, ale chciałabym wiedzieć, nie z ciekawości, co dzisiaj zamierzasz robić?

Eryk jest zadowolony, że to nie on musiał przerwać milczenie. Po pierwszej kromce chleba zjedzonej z przymusem, poczuł głód i teraz kończy już ostatnią na talerzu. Za chwilę też zabraknie herbaty w szklance.

- Tego jeszcze nie wiem. Potem o tym pomyślę – mówi z pełnymi ustami.

Nie poddaje pozycji. Nigdy jej nie wpuści na swoje pozycje. Jeśli się sam odłoni, będzie go miała w rękę. Sięga po bochenek, kroi, rozsmarowuje masło. – Zrób mi jeszcze jedną herbatę, proszę. Czy pytasz, dlatego, że chcesz dzisiaj robić coś specjalnego?

- Zakupy. Muszę zrobić zakupy. Dlatego chcę, żebyś zajął się dzieckiem. Magdusia niezadługo zapomni jak wygląda jej tatuś – mówi bardzo ironicznie. Wstaje i dolewa wody do czajnika.

- Czyżby ktoś tutaj bywał w czasie mojej nieobecności? – jakie to głupie. Czy ona nie widzi, że dzisiaj mogłaby mnie zniszczyć jednym dobrze odmierzoną słowem?

- Jeszcze nie.

- W razie, gdyby to nastąpiło, powiadom mnie wcześniej. Nie myśl jednak, że czegokolwiek ci zabraniam. Dzieckiem oczywiście się zajmę.

- Byłoby lepiej, gdybyś mniej pił i poszukał sobie jakiejś stałej pracy – mówi wreszcie Ewa to, co musiała powiedzieć tego ranka. Podobne zdania zdarzało jej się wypowiadać już wiele razy.

- A więc uważasz, że źle postępuję? – udaje zdziwienie Eryk. – Czuję, że masz mi coś do zarzucenia. Znowu?

- Przestań! Przestań wreszcie udawać i bądź sobą. Chociaż przez chwilę. Doskonale wiesz, co mam na myśli, i wiesz, że mam rację. Twoje mówienie jest wynikiem tego, co

robisz. Dorabiasz sobie wygodną ideologię. Spójrz na innych, rozglądnij się dokoła. Czy ktoś żyje tak jak ty?

Wtedy Eryk mówi:

- Najgorsze jest to. Że niektórzy wierzą i uważają za słuszne tylko to, co robi większość otaczających ich ludzi...

Zaraz potem krztusi się.

- A teraz, kiedy już powiedziałaś swoje, idź zawołać dziecko na śniadanie. Potem możesz robić, co tylko ci przyjdzie do głowy, pod warunkiem, że wszystko poza domem – powiada Eryk tonem znanym skądinąd.

Ewa wychodzi z kuchni i w drzwiach spotyka Waldemara Zimnego. Wita się z nim obojętnym kiwnięciem głowy. On odpowiada w ten sam sposób i ogląda się za nią. Czuje jego wzrok i wchodząc po schodach kręci biodrami. Waldemar przechodzi przez próg i siada przy stole, na przeciw Eryka.

- Źle wyglądasz – mówi Eryk – może coś zjesz?

- Zrobię sobie herbatę, jeśli pozwolisz – odpowiada Waldemar, ale nie rusza się ze swojego miejsca.

Ten człowiek naprawdę nie ma kłopotów, a ja mogę tylko udawać, że ich nie mam. Jest ode mnie starszy, a wygląda na pięć lat mniej. Ale ja jeszcze nie łysieję, tylko kilka fałszywych siwych włosów, a u niego widać już zakola przy skroniach. Podobno blondyni szybciej tracą włosy. Dobrze, że przyszedł.

- Dobrze, że przyszedłeś, ale, ale: jak się dostałeś do domu? Drzwi są zamknięte?

Waldemar uśmiecha się: - Owszem, zgadza się. Są zamknięte.

- Dobrze, że przyszedłeś – powtarza. Z tym jego idiotycznym uśmiechem na twarzy zaczyna ten facet działać mi na nerwy. O co mu, do diabła, idzie? Chyba sobie nie wyobraża, że z samego rana będę rozwiązywał jakieś cholerne rebusy? Teraz znowu chce coś powiedzieć.

- Czy naprawdę nic nie pamiętasz? Bo mnie się wydaje, że spałem w twoim domu, bo mnie zaprosiłeś. Sam przyniosłeś mi koc, powiedziałeś dobranoc i zgasiłeś światło – Waldemar Zimny nie dodaje, że zaraz potem wstał i zaświecił biurkową lampę. – Przyszliśmy tutaj razem, spotkaliśmy się na przystanku. Czy rzeczywiście nic nie pamiętasz?

Eryk, w pierwszej chwili lekko zmieszany: - Ach, tak, teraz już sobie...

A potem: - Nie, nic. Zupełnie nic.

Ach, po co to zawstydzenie. Żeby tylko niczego nie żałować. Niczego. Wszystko jest bardzo dobrze i nic się nie stało. Dlaczego mam żałować wesołego wieczoru i spokojnej nocy? Snu od przyłożenia się do poduszki? Snu bez pocenia się. On się śmieje, ale wie doskonale, na czym to polega. Może nawet w głębi ducha mi zazdrości. Śmieje się dla podtrzymania nastroju. Na pewno chce się napić. Niczego nie żałuję.

- Zjedz coś – Eryk wskazuje zapraszającym gestem na stół i podchodzi do kuchenki, aby przyrządzić herbatę. Przygotowuje potem dwie kanapki dla Magdusi. – Po śniadaniu pójdziemy do pracowni i odbierzemy pieniądze. Potem wrócimy tutaj; dzisiaj muszę zostać z Magdusią. Ewa chce wyjść.

Waldemar Zimny macha ręką, że wszystko jest nie tak, jak mówi Eryk i zaraz tą samą ręką sięga do kieszeni. Wyjmuje kilka pomiętych banknotów zwiniętych w kulki. Prostuje je wygładzając kantem dłoni na blacie stołu i podaje Erykowi.

- To dla ciebie – mówi. – Byłem tam wczoraj i wszystko załatwiłem. Było trochę kłopotów, szukałem ciebie.

- Co się stało?

Waldemar opowiada o jakichś komplikacjach, które wydają się zabawne jeszcze, gdy o nich mówi, ale przy końcu spostrzega, że Eryk słucha go bez zainteresowania. Wkłada banknoty do kieszeni szlafroka – tak po prostu, bez szacunku.

Nie dociera do niego, że musiałem po nim poprawiać, a przecież wie, ile trudu kosztują mnie te techniczne szczegółiki, które on robi od ręki. Nie przejmuję się i nie jest mu przykro – a może jest? Mówienie o tym niczego nie zmienia. Właściwie, o co mi idzie? To wszystko i tak wielka bzdura. Bzdurne plansze dla bzdurnego teatru malowane przez bzdurnych ludzi do bzdurnej sztuki. Teraz go ucieszę. Dam mu małą radość i nic nie będzie mnie to kosztowało. To przyjemne.

- Posłuchaj, wydaje mi się, że miałaś coś wczoraj w torbie, gdy odprowadzałem cię do domu. Chyba nie zaglądałaś do niej jeszcze, prawda?

Jest radość, może nie taka mała.

Obydwaj mężczyźni uśmiechają się do siebie z ulgą. Bez pośpiechu kończą śniadanie, wolno popijają herbatę ze szklanek.

Gdy przychodzi Magdusia, żartują i przekomarzają się z nią. Dziewczynka bawi się i przy okazji chętnie i szybko zjada śniadanie. Na tym im właśnie zależy. Eryk obiecuje, że wyniesie dla niej do ogrodu plastikowy nadmuchiwany basenik. Będzie mogła chlupać się do woli, kapać lalki, użyć nareszcie swojej drewnianej flotyli małych żaglówek. Dziewczynka jest szczęśliwa. Eryk jest szczęśliwy. Waldemar jest szczęśliwy. Żona jest na górze. Przygotowuje się do wyjścia po zakupy.

- Kocham cię, tatusiu – mówi mała dziewczynka. Jak tu nie kochać takiego taty?!

- Tatuś też cię kocha – zapewnia ją Eryk. Dopija herbatę, przełyka ślinę. – I wujek Waldek – dodaje. Odstawia szklankę.

Waldemar kiwa głową. Poważny wyraz na jego twarzy. Miłość to ważna rzecz. Także u małych dziewczynek, które śpią bez koszmarów, albo śnią im się tylko małe koszmary. On miłość szanuje. I popiera. Całym sercem. Jak boni-dydy!

Do kuchni zagląda Ewa. Ubrana w lekką sukienkę. Spięte z pozorną niedbałością włosy spadają na kark. Waldemar zauważa ją pierwszy i puszcza do niej oko. Ona uśmiecha się. Zauważa, że w kuchni jest wesoło. A może by tak poprawić dobry nastrój, myśli i pyta:

- Eryk, czy możesz dać mi trochę pieniędzy? Bo na karcie nic już nie mam.

W jej głosie prawie niesłyszalna pretensja. Eryk niby, że zaskoczony:

- Pieniądze? Ach, tak, proszę bardzo – obojętnym ruchem sięga do kieszeni szlafroka, grzebie w niej przez chwilę, a potem wyjmuje banknoty i podaje żonie. Z satysfakcją, bo zna wszystkie odcienie jej głosu, jej przeszłość i teraźniejszość. Każdy milimetr jej ciała oraz całość możliwych zachowań i reakcji. Byłby bardzo zaskoczony, gdyby potrafiła go jeszcze czymś zaskoczyć.

Zaraz powie, że to za dużo.

- Tyle może mi nie potrzeba – mówi Ewa łaskawiej, chociaż znowu przegrała.

- Dobrze, dobrze. Nie mówmy już o tym – Eryka macha ręką w powietrzu, jakby mimochodem: takiej okazji też nie mógł zmarnować. Ale już się niecierpliwi. Kąpiel i śniadanie powoli przestają działać, ręce drżą nerwowo i pot parzy skórę, od gardła do żołądka dziwnie sucho. Czym wobec tego są te małe poranne satysfakcje? Niech ona już sobie pójdzie. Nie jest mi do niczego potrzebna, działa mi na nerwy.

- To ja już wychodzę – mówi Ewa i odwraca się do drzwi. – Na razie, do widzenia. Pa, Magdusiu.

Jasne, że ci dwaj coś zamierzają. Zaczną rano i nie wiadomo jak to się skończy wieczorem. A kiedyś to się całkiem skończy. Ile czasu to może jeszcze potrwać? Jego sprawa, zawsze jego sprawa. A ja!?

- Pa, pa, mamusiu. Kup mi gumę do żucia.

Świat się zwężył. Nerwowo przebiegają palcami. Bębnią w stół. Eryk nagle wstaje i każe Magdusi szeroko otworzyć usta, aby nakarmić ją od razu całą półkromką chleba. Podaje jej kubek mleka i poleca iść do ogrodu. Na przekłete bachory, są sposoby. Na żony przekłete. Na ojców i matki. Ptaki i słońce. Czas i ołowiane żołnierzyki.

Teraz Eryk popada w zadumę. Waldemar Zimny prawie nie oddycha, żeby nie mącić jego dociekliwych myśli i tej wspaniałej ciszy. Obserwuje go w skupieniu. Hipnotyzuje. Naraz Eryk wstaje, wychodzi na korytarz, idzie pewnym siebie krokiem; Waldemar podąża za nim w pewnej odległości. W przedsionku, pod drewnianym wieszakiem nieopodal szafy, z cholewki wysokiego ogrodniczego buta, jak gwiazda przewodnia, błyszczy oczko zakrętki.

Jesteś więc nareszcie szklana siostrzo, pocieszycielko, samarytanko, prezerwatywo łez, pieniążku złoty, brylantowy. Wieżo kryształowa, miłości czekana nie nadaremno, onanio duszy, pierwsza mucho wiosenna, solo ziemi obiecowanej. Przychodzisz, jak Mikołaj tyle miesięcy przez dziatwę wyczekiwany, oddajesz się na zatracenie do ostatniej kropli, witamy cię towarzysko najmilejsza, pójdź w nasze ramiona. Przytul się do serca chlupoczącego twoim rytmem, ty krwawico przodków i jeszcze starszych. Zmoro najpiękniejsza. Wzłocie i upadku. Cip, cip, cip. Taś, taś, taś, kici, kici, kici.

No i dodatki: Waldemar chłodzi butelkę nad zlewem pod strumieniem zimnej wody z kranu. Eryk wlewa do dzbanka mocną herbatę Earl Gray. Siwy Hrabia na kolor ciemnobrązowy. Ich ruchy są pewne, uspokojone dłonie pracują sprawnie – jak przed akcją militarną, o której powodzeniu może zdecydować najdrobniejszy szczegół, szczegółlik, duperek, bo inaczej wszyscy się pozabijają. Potem Eryk schodzi do piwnicy i samochodową pompką napełnia powietrzem plastikowy basenik.

DYMA



Dyma. W pocie czoła. Zdejmuje szlafrok i zostaje w białych gatkach. Waldemar w tym czasie ma wynieść do ogrodu wieżę stereo; w cieniu małej, porośniętej winoroślą altanki, zbudowanej jeszcze przez ojca, który być może wiązał z tym jakieś nadzieje, czeka na nich metalowy stolik i ustawione wokół niego białe ogrodowe krzesła z metalu. Lato. Niektórzy wyjechali na wakacje. Zakopane. No nie, Łeba. Orbis. Luks. Rezerwat i cisza. W asyście podskakującej z radości Magdusi, Eryk wyciąga basenik do ogrodu i nalewa do niego wodę używając gumowego węża. Niezadługo słońce ogrzeje wilgotną ziemię i zmarzniętych ciemnością ludzi. Opowie im historię o początku świata i zagotuje wódkę w ich głowach, krew w żyłach, nasienie w jądrach. W odległym kościele dzwony bimbają na świat.

Kiedy wszystko gotowe, kiedy wódka szczyrzy zęby z napełnionych kieliszków, a zamglona butelka poci się srebrnymi kropelkami, bo zna swój koniec, kiedy papieros spala się w chciwych pociągnięciach - jest dobrze.

Lekki wiatr popędza białe stada po niebie, nad głową.

- Włącz magnetofon – mówi Eryk.

Płynie muzyka, kojąca, delikatna.

- Pamiętasz, to był ulubiony utwór naszej Moli.

- Już upłynęło tyle czasu...

- Tak, to była jeszcze wiosna. A my ciągle jesteśmy. I będziemy. Nieśmiertelni.

Napijmy się.

- Napijmy się – godzi się Eryk Szlahta i dosięga kieliszek rozciapieżoną dłonią .

Obraca go przez chwilę w ręce, a potem szybkim ruchem przechyla do ust. Jakby płynny ołów wlany w suche gardło męczennika. Papierowym korkiem przeciska się do żołądka. Chyba zaraz... Jelita wywracają się na nice. Szybko przelyka ślinę i zaciąga się papierosem. Oj, oj. Lepiej. Przyjemne ciepło rozchodzi się po najgłębiej ukrytych zakamarkach ciała, a wódka tysiącami małych aksamitnych łapek delikatnie poklepuje w ścianki żołądka.

Gładko. Dlaczego wódka ma zawsze rano taki obrzydliwy smak? Powinni coś z tym zrobić. Przecież naród płaci podatki. Herbata, o właśnie. Trochę za ciepła, trzeba było przestudzić. Ależ ta gorzalka wierci się w brzuchu! Mości sobie posłanko, wyleżysko, ekologiczną niszę. Zaraz ją poczuje w głowie. Robi się gorąco, trzeba być ostrożnym. Czujnym i ostrożnym. Dlaczego on taki blady? Chyba nie będzie... O tak, już może zaciągnąć się dymem.

- Najgorzej pierwszy raz – mówi Waldemar Zimny.

- Masz rację – zgadza się Eryk – najgorzej pierwszy raz. Przeciąga się i zakłada ręce na kark. Twarz wystawia do słońca.